

## Z Odłamków imienia

### Z ukraińskiego przełożył Bohdan Zadura

– Hej, ziomalu!

Nie, to jeszcze nie anioły wołają.

– Czego? – z trudem odwracam zdrewniały kark.

Nieopodal rozpląszczył się, przywarł burczącym, przepelnionym brzuchem do ziemi (do dziewczęcych cycków tak się nie tulił) mój sobowtór. Wszyscy tutaj mamy takie same twarze – raczej beztwarze.

– Myślałem, że już po tobie – w głosie ulga, nie jest przyjemnie mieć za sąsiada – nieboszczyka, nawet jeśli jest świeży. – Cały jesteś?

– Mhm. Jak pisanka na Wielkanoc.

W dzieciństwie bałem się chrabąszczy, wplątywały mi się we włosy. Życzyłem im, aby co do jednego pozdychały w pudełkach od zapatek. Strach szczyrzył do mnie zębą i buczał do ucha.

Para śmigłowców nadleciała nad nieprzyjacielski mózdzierz, przeliczywszy nam kręgi od napiętka do głowy.

– Hu–hu–hu, przeniosło! – odetchnął sobowtór.

– A pamiętasz, jak dziewiątą kompanię zatatwili?

Odstrzelawszy się, śmigłowce odleciały, by zrobić drugie podejście. Mózdzierz szczykał dalej.

– Całe niebo podziurawili.

Strzęp zwisa mi do twarzy i końcem maminej chustki dotyka szczęki.

Żołnierzy strzygą krótko, żeby śmigłowce nie wplątywały się we włosy.

– Hej – patrzę kątem oka na sobowtóra. – Chciałbyś stać się robakiem?

– Co? Nie zrozumiałem.

– Chcesz być robakiem?

Widzę spojrzenie głupka.

– Wtedy mógłbyś schować się w ziemi – tłumaczę.

– A–a–a – chłopiec chwyta sens. – Nie, lepiej mrówką.

Spluwam ziemią, jest sucha i słona. Jest obca. Naciskam na spust – poruszam wskaźującym palcem, jakbym kogoś przywoływał. Automat trzęsie się jak w ataku epilepsji.

– U mrówek też jest wojsko.

Ktoś naprzeciwko kiwa do mnie palcem, woła, żeby zapytać: po co tutaj przyszedłeś?

Wypuszczam kule, jak ptaki z klatki. Przyszedłem tutaj, żeby dać im wolność.

\*

– Może zapalimy? – proponuję Naimowi.

Spęłzamy zбочem w dół, tu jest bezpiecznie. Prawie obok jakiś żółtodziób przysiadł się wypróżnić. Pobłykiwał w słońcu białym, jakby wypolerowanym zadkiem.

– Zjeżdżaj stąd!

Żeby przegonić, wystarczy okrzyk. Dla zabawy strzelam do pnia drzewa, pod którym umościł się biedaczysko.

– Głupek – Naimowi nie w smak moje żarty. Haszu zostało na trzy skręty – to właśnie główny powód jego niezadowolenia.

– Pożyczysz u ziomali.

– Pajsy potrzebne.

– Dawaj, zjeździemy do kyszałku, przetrzepimy.

Przymrużywszy wąskie oczy, Naim głęboko się zaciąga. Przekazuje papierosa mnie.

– Głupek – wypowiada, wydychając dym.

– A ty – babaj, mongoł, kitajec, czukcza...

On niewzruszony. Biję go w twarz, w żółty spłaszczony nos. Naim zasłania się automatem. Boleśnie uderzam ręką. Obaj zanosimy się śmiechem. Rechoczymy. Jest nam wesoło. Po haszu zawsze jest wesoło.

– Głu... głu... głupek – wrzuca Naim w przerwie śmiechu.

Chwytam go za kark. Klęczymy, objęci i oparci czołami, trzęsiemy się ze śmiechu.

– Głu... głu... głupek – powtarzam za Naimem..

Jestem mu wdzięczny. Naim to jedyna osoba w tych górach, której się nie boję, której wierzę, której nie obrażam. To mój przyjaciel.

\*

– Synu, zbudź się – ręka matki wygania z dusznego snu. – Tak krzycałeś, że się przestraszyłam. Coś złego ci się śniło?

– Wojna, mamo.

Dłonią ścieram z twarzy pot. Matka się żegna. Teraz jest starsza od samej siebie o dwadzieścia lat.

– To od złych myśli. Pójdziemy do babci Gusty, niech odczyni jajkiem – decyzją, którą podjęła, ostatecznie ją uspokaja. – Powinieneś się zakochać i wszystko od razu minie.

Matka teraz jest młoda. Dlatego trochę lekkomyślna. Ma lekką letnią sukienkę. Do twarzy jej z nią. Z lekkomyślnością także. I tylko dorosły syn, któremu śni się wojna, do niej nie pasuje. Dorosły syn – to zmarszczki i starość.

– Napij się mleczka – podaje żółtkły gliniany kubek bez ucha. – Właśnie babcia nadała.

Nie zdążam donieść do ust, kropla potu odrywa się od czoła i spada w mleko, zostawiając na białym czerwony cętkę. Cętka rozlewa się w płamę.

– Mamo, tu jest krew! – jęczę jak dziecko.

– Co?

Matka w sąsiednim pokoju sprawdza uczniowskie zeszyty, zawsze robi to rano. Mojego zeszytu w tym stosiku nie ma i jestem na peryferiach jej uwagi.

– Gdzie jest krew?

Dotykam czoła – ręka jest sucha i czysta.

– W kubeczku.

– Krwi nie można pić, w krwi jest dusza.

Rzucam kubeczkiem z krwią o ścianę. Przestraszony kot zeskakuje z parapetu i chowa się pod tapczan. Podnoszę głos do krzyku:

– Mam dość tych twoich nauk! Co ty wiesz o krwi?! Co? – Niemal tracę panowanie nad sobą. Widziałem dużo krwi. I ani razu nie widziałem duszy. A–ni–ra–zu! Żadnej.

Na białej ścianie nie widać mleka, tylko białą łątkę.

– Nie gniewaj się, wybaczone – niezgrabnie obejmuję matkę. – Nie płacz. Jak wrócę z wojny, przywiozę ci chustkę. Wielką, ze złotogłowa. Już kupiłem. I japońską parasolkę. Za czterdzieści paragonów.

– Nie gniewam się – matka ociera łzy. – Kubeczka szkoda; piłeś z niego, jak byłeś jeszcze maleńki.

Nie wiadomo, co zrobić ze swoimi oczami, gdzie je schować.

Coś ciężkiego przygniała piersi. Dusci. Drze od środka.

Gdzie matka? Dlaczego nie budzi?

\*

Rozglądam się na wszystkie strony: czy to jest rzeczywistość? Otaczają mnie góry i ludzie z bronią. Ale przecież oni mi się śnią. Oni mnie, rannemu, marzyli się, a, opalonymu (po kontuzji wystarczy kilka sztachów, żeby zaczęły się halucynacje), unoszą się... Jakiś szalony kalejdoskop, w którym nic się nie zmienia.

– A co, jeśli ty także jesteś przywidzeniem – obmacuję wzrokiem przyjaciela.

– To łatwo sprawdzić.

– Jak?

– Wystarczy, że strzelisz do mnie – i się dowiesz.

\*

Naim budzi mnie uderzeniem w plecy. Pora na wartę. Odbezpieczam automat. Łypię w mroku tu i tam. Szukam w górze nieba – nie znajduję.

Świat przypomina klepsydrę, musi przewrócić się z nóg na głowę, żeby czas się poruszał.

– A–ja–ja–ja–ja–ja–ja–ja–ja–ja–ja! – zanosi się płaczem szakal.

– A–ja–ja–ja–ja–ja–ja–ja–ja–ja–ja! – zawodzi matka.

Któraś sąsiadka z szacunku dla nieszczęścia pociąga nosem.

– Biedulku ty mój – babcia tuli moją głowę do miękkich płaskich piersi.

– „Mówiłam mu: nie wkładaj nowego garnituru, a teraz nie ma go w czym do trumny położyć”.

\*

Wywijam się z babcinych rąk, bo chłopcy biegną teraz patrzeć na traktor, który przygniół mojego ojca. Pijany traktorzysta przejechał po moim pijanym ojcu, niszcząc jego i prawie nowy rower. Ten rower mógłby być mój.

A-ja-ja-ja-ja-ja-ja-ja!

Padam na kolana. Macam w ciemności. Szukam nieba.

\*

W ustach zbiera się krew, plunąc by teraz komuś w mordę, ale nikt nade mną się nie pochyla, nie pyta, jak się czuję. Więc zdechnę i nie będzie kogo postać... Nastuchuję. Na zewnątrz ciała – cisza. Wewnątrz głowy rozmawiają ludzie. Ich głosy zadają ból. Najlżej jest teraz moim rękom; wolne od broni, podnoszą się gdzieś aż pod sufit. Złuszczę się, przetykam krew i zawzięcie nie proszę o picie. Złość daje energię i utrzymuje świadomość. Próbuję otworzyć oczy. Być może ten duren chirurg zszył mi powieki. Teraz i dwóch groszy nikt za mnie nie da. Rwę szwy na oczach, wyciągam z żyły kroplówkę...

Niewyraźna biała postać majaczy w nogach łóżka. Pewnie to pielęgniarka. Albo – śmierć. Na pewno są trochę podobne. Oto i objawienie: ze śmiercią można się przespać jak z pielęgniarką.

Postać blaknie, staje się przezroczysta jak mleko, do którego dolewają i dolewają wody.

\*

Nagi leżę na gładkim zimnym stole. Widzę nad sobą wbity w sufit hak. Być może, kiedyś wisiła na nim gazowa lampa, która wyświetlała prawdę. Mężczyźni oglądali ją i macali, jak zwykli macać cudze żony w sieniach, ociekając śliną i spermą, kobiety jednak przy tej lampie wyszywały, rozbierając się, odcinając knot. Zza nagich kobiet wstawała ciemność. Z ciemności korzystali złodzieje.

W ciemności kobiety rodziły obcych.

\*

Trzy w zamaskowanych twarzach zamiast wydlubywać ze mnie kulę, szepczą i chichoczą.

Rozpoznają swoje koleżanki z klasy.

Szarpię się, żeby uciec czy chociażby się przykryć, ale dziewczęta przezornie przywiązały mnie do stołu. Jedyna moja kryjówka teraz to zamknięte powieki.

Dziewczyny pod ubraniem też są gołe, uspokajam siebie. W cokolwiek by się ubrały – zawsze pozostaną gołe.

Ubranie robi nas gołymi. Ubranie nas różni. Ubranie nas podnieca. Ubranie – to to, co z siebie oddajemy. A oddajemy – gołych i wstydlivych. Naprawdę jesteśmy – ubrani i chciwi.

\*

Każdy mężczyzna, któremu nie udało się zginąć za Ojczyznę, musi spełniać swój inny święty obowiązek – zadowalać kobietę.

Kobieta i Ojczyzna – dwie odwieczne sprzeczności.

Kobieta nazywa mężczyzn Edypkami i pozwala im bawić się swoimi piersiami.

Śmierć za Ojczyznę – to incest.

Ojczyzna czy Kobieta?

Stając przed tym dylematem, mężczyźni rozwiązują go na korzyść Ojczyzny. Ojczyzna nie zabrania im pić.

Ojczyzna jest zazdrosna. Każdy, kto ją zdradził, zostanie przeklęty.

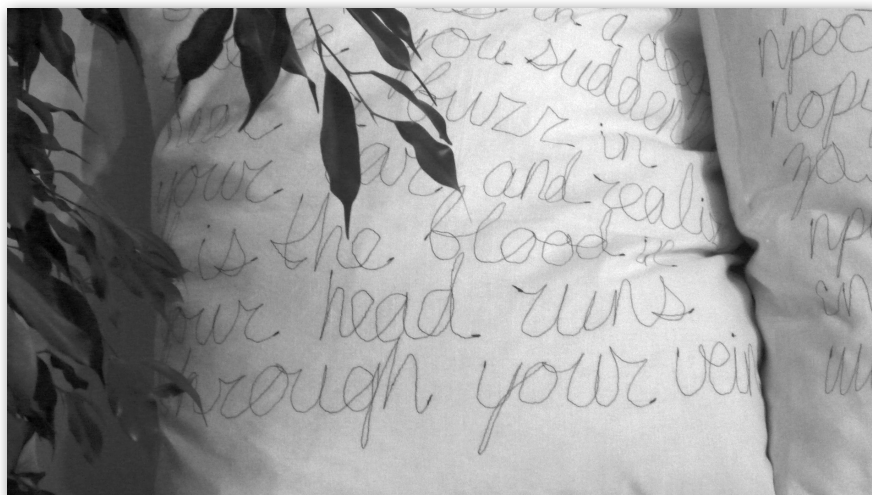
Ojczyzna jest zdradliwa. Każdy, kogo ona zdradziła, zostanie przeklęty.

Żołnierz-kaleka wie, że ona jest oziębła, ale traktuje to jak kompleks własnej niepełnowartościowości.

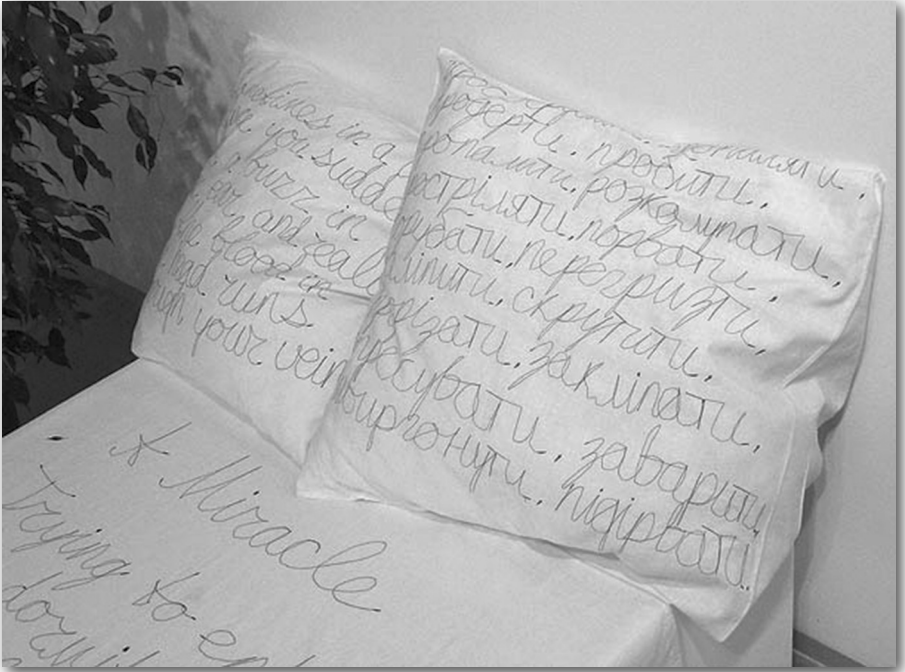
Mężczyźni są oddani Ojczyźnie. To ich obowiązek.

Kobiety gwałcą mężczyzn. To jest ich prawo.

Osiągając orgazm, wznoszą się nad Ojczyznę.



Wołodymyr Kuzniecowa, *Czasami*



Wołodymyr Kuzniecowa „Miracle” – t.j. cud